

Antena

WARSZAWA

T. Nr 31 30-07-2001

w bliskim planie Wojciech Pszoniak

Sens ważniejszy od średniówki

Spotkaliśmy się na planie „Dożywocie” Fredry, który reżyseruje Pan dla telewizyjnej Jedynki. Gra Pan także Łatkę. Zaczniemy więc od niego. Jak Pan go widzi?

– Gdy przed pięcioma laty zagrałem tę rolę w Teatrze Polskim, w moim Łatce doszuki-

wano się podobieństw do tych, co to niegdyś handlowali dolarami pod bankami. Mówiono nawet, że przypomina on Włta Moryca z „Ziemi Obiecanej”, co jest już zupełnym absurdem. Dla mnie Łatka to ktoś, kto ma określony stosunek do pieniędzy. Nie mam zamiaru uwspółcześniać go na siłę i, broń Boże, dopasowywać do tych, co stali pod bankami, ale chcę, żeby miał – jakby to powiedzieć – serce współczesnego człowieka. Nie wierzę, żeby można było, żyjąc w określonym czasie, grać postać historyczną.

W Teatrze Narodowym możemy oglądać „Dożywocie” w reżyserii Jana Englerta. I jego Łatkę. Będzie Pan tak mocno ucharakteryzowany jak pan Englert?

– W Teatrze Polskim w ogóle zrezygnowałem z charakteryzacji... Nawet zostawił Pan w uchu kolczyk...

– To prawda. Najważniejszy jest tekst. Do niego przywiązuję największą wagę. Łatka ma kamienicę, nie jest biedny! Chytry, skąpy – tak. Ja znam paru milionerów, którzy są nieludzko skąpi! Nie jest biedny, nie jest brudny. Różia brzydzi się nim z innego powodu – to lichwiarz. Kupił dożywotnią rentę od Birbanckiego, więc trzęsie się o tego człowieka. Proste: jeśli by Birbancki umarł, on straciłby wszystko.

A Leon, którego gra Artur Żmijewski?

– Na przykład monolog, który wygląda przed lotem balonem, jest wypowiedział bar-

dzo dojrzałego człowieka. Relacja między nim a Rózią nie jest oparta na seksie. Znają się przecież od dziecka.

Ma Pan wyraźną, swoją wizję Fredry. Widziałam też, że czuwa Pan, żeby aktorzy wystrzegali się „deklamacji”.

– Sens jest ważniejszy od średniówki. Wiersz Fredry jest czymś

wspaniałym, ale dla nas, aktorów, najistotniejsza jest postać, którą gramy. I jeszcze jedno, jeśli chce się, żeby komedia była szlachetnym gatunkiem, nie można „komikować”. I ja, i moi wspaniali koledzy wiemy, że to bardzo trudne.

Śmieszna, ale i mądra jest komedia Fredry, taka jest też „Kolacja dla głupca” w warszawskim „Ateneum”. To już niemal kultowe przedstawienie. Spodziewał się Pan takiego powodzenia sztuki Francisca Vebera?

– Bogaty wydawca ma specyficzne hobby – zaprasza na kolacje zwyczajnych ludzi, a potem wraz z przyjaciółmi bawią się ich kosztem, wykpiwają. Sztuka miała ogromne powodzenie we Francji. Przyznaję jednak, że niezwykła reakcja widzów w „Ateneum” przeszła moje oczekiwania. Ta komedia mówi o tym, jak traktujemy drugiego człowieka. Bóg mieszka w małych ludziach. Na przykład w skromnym księgowym, którego gram. Chyba taka właśnie refleksja w porządnej komedii może okazać się przydatna.

Są aktorzy i reżyserzy kompletnie pozbawieni poczucia humoru. Także na scenie. Co Pan o nich myśli?

– Tych bardzo „poważnych” podejrzewam o nieszczerść. Łatwiej oszukać, ukrywając się za powagą misji, profesurą. Proszę zwrócić uwagę na Papieża – nie- sie cały świat na swoich zgarbio-

nych plecach, ale gdy widzi, że ludzie mokną, uśmiecha się i śpiewa: „Nie lej descu, nie lej...”. Śmiech, mądry śmiech ma oczyszczającą moc!

Jak Pan odpoczywa po ciężkiej pracy na planie?

– Wycisza mnie muzyka. To mój azyl.

Nic dziwnego – gra Pan na saksofonie, a przed laty, w średniej szkole muzycznej, na oboju. Czy rodzaj pracy określa rodzaj muzyki, którą Pan wybiera?

– Tak. Teraz, gdy zajęty jestem przy komedii, chętnie słucham muzyki sakralnej, Haendla, „Pasję” Bacha. Kocham jazz. Lubię Brubecka, Modern Jazz Quartet, ale tę muzykę zostawiam na inne sytuacje.

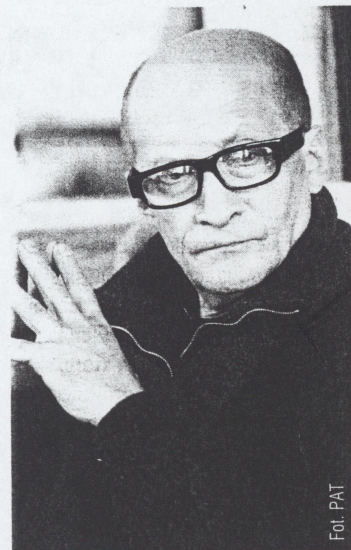
Od lat 80. mieszka Pan w Paryżu. Tam jest Pana dom?

– Podobnie jak w Londynie – świat, życie, przyjaciele. Paryż jest moim miastem, ale nigdy na dobre nie wyjechałem z kraju. W Polsce, jak wszyscy, mam pesel, dowód, mieszkanie.

Jak z pewnej odległości wygląda Polska?

– Faktem stało się to, co trudno było sobie kiedyś nawet wymarzyć – to wolny kraj. Jednocześnie myślimy i żyjemy tak, jak przed laty nas kształtowano. Trudno się dziwić, że na każdym kroku wylazi komunistyczne schamienie. Wystarczy przerzucić gazety, posłuchać rozmów, a nawet – na przykład jadąc przez Polskę samochodem – porównać nasze ogródki, ulice, zagrody z tymi mijanymi we Francji czy Włoszech. Na widowni w teatrze widzę ludzi z butelkami i puszkami w rękach.

Na koniec poproszę o receptę na dobre, długotrwałe małżeństwo. Razem jest Pan z Panią Barbarą ponad 20 lat?



Fot. PAT

– To, że ludzie się dopełniają, to rodzaj magii, bo przecież o dobrym związku nie stanowi tylko to, że dwójgu ludziom podoba się na przykład ta sama architektura, malarstwo, muzyka. Tak jest w naszym przypadku, ale jest i coś więcej. Poznaliśmy się w 1974 roku, sporo lat przeleciało w mgnieniu oka. Być może tym bardziej jesteśmy nastawieni na siebie, że nie mamy dzieci? Lubimy być razem, rozumiemy się.

Kiedy urlop?

– Nieprędko, chyba w lutym. Po powrocie do Paryża czekają mnie próby w węgierskiej sztuce „Sklep na rogu ulicy” Mikłosa Laszlo. Akcja dzieje się w latach trzydziestych, ja zagram jedną z głównych ról. Tam „próbuję” się 12 godzin dziennie, czekają mnie więc powroty do domu o 12 w nocy.

To z ulubionego kucharzenia nieci?

– Mam teraz tak dużo pracy, że wolałbym, żeby mi podawano do stołu gotowe dnia.

Rozmawiała
Ewa Piasecka